

O przygodzie z Beksińskimi słów kilka

Moim zdaniem Beksińscy to ludzie fenomenalni. Nie oceniam ich postępowania i moralności, jak to sporo osób uczyniło po ukazaniu się książek i seansach filmu "Ostatnia rodzina". To było nie fair. Nie mam prawa. Nie chcę! Stwierdzam jedynie doniosły fakt, iż mieli na mnie ogromny wpływ. Obaj Panowie B.! Tomasza Beksińskiego „poznałam” pod koniec lat 80-tych, będąc jeszcze dzieciakiem, za sprawą audycji „Romantycy muzyki rockowej” emitowanej w poniedziałki o godzinie 22.00 w Programie II Polskiego Radia, o ile mnie pamięć nie myli. Kilka lat później dopiero zaczęłam interesować się malarstwem jego ojca, gdyż wcześniej nie wiedziałam, że obaj panowie to najbliższa rodzina. Nazwisko to zdecydowanie bardziej kojarzyło mi się z radiem i dobrym rockiem niż malarstwem. To był początek lat 90-tych, wówczas przepływ informacji nie był tak sprawny jak dziś w dobie Internetu, a ja dopiero dorastałam, stąd moja ignorancja. Piszę o tym wszystkim, bo Tomasz Beksiński, a potem również jego ojciec Zdzisław, mieli niebagatelny wpływ na kształtowanie moich gustów artystycznych. Pamiętam, będąc w szkole średniej lekturę powieści "1984" George'a Orwella. Wówczas moją uwagę przykuła apokaliptyczna grafika na okładce tej książki przedstawiająca dziwaczną postać – ni to człowieka, ni zwierzęcia z krwawiącą obandażowaną głową, uciekającą na czworaka - niczym Gollum - z ogarniętego płomieniami miasta. Okazało się, iż jej autorem jest niejaki... Zdzisław Beksiński. To było moje pierwsze zetknięcie z tym jedynym w swoim rodzaju malarstwem - awangardowym, nowoczesnym, mieszczącym się doskonale w nurcie XX-wiecznej abstrakcji. Po jakimś czasie jesienią 1994 roku natrafiłam w pewnej dużej księgarni w Bydgoszczy na album malarstwa Beksińskiego z tą samą reprodukcją. Nie zastanawiając się długo, wrzuciłam tenże album do koszyka i jakież było moje zdziwienie przy kasie, gdy okazało się, że ta książka kosztowała przysłowiowe grosze. Był to zbiór kilkudziesięciu barwnych reprodukcji i kilkunastu czarno-białych rysunków. Wszystko opatrzone komentarzem Tadeusza Nyczka. Pamiętam też umieszczone tam opinie o malarstwie Beksińskiego, w tym tę najbardziej bezpośrednią: "Albo tworzysz Pan na haju, albo jesteś Pan cholernym geniuszem!" Cóż dodać... Nie ma drugiego takiego malarza na świecie. Stawiam go na równi z Boschem, Bruegelem, Carravagiem, Gigerem czy Dorém. Może ktoś się oburzać, że stawiam współczesnego polskiego artystę w jednym rzędzie z tuzami światowej klasyki malarstwa, ale tak to widzę i czuję. Malarstwo Beksińskiego trzeba właśnie poczuć. Głęboko w trzewiach. Chyba nie ma osoby obojętnej na widok jego wstrząsających, schizofrenicznych i apokaliptycznych (właśnie "apokalipsa" to słowo klucz do zrozumienia wymowy i sensu tej twórczości). Można nie lubić tych obrazów, można wyobrażać sobie zapach stęchlizny unoszący się nad tymi wszystkimi kośćmi, można czuć paniczny strach, widząc ogień czy powódzie, niszczące kruchy świat ludzkiej

cywilizacji. Można oburzać się na brak sensu życia doczesnego, gdyż już w kolebce zagląda nam w oczy śmierć. Ale nie można z pewnością być obojętnym na wizje Pana Zdzisława. One wywołują najprawdziwszy weltschmerz, po którym trudno o ukojenie. Ale taka rola artysty. Prowokować, pobudzać do myślenia i zmiany mentalności. Jedni uznają malarstwo Zdzisława Beksińskiego za niezrozumiałe i zbyt mroczne, drudzy dawno okrzyknęli go artystą wyprzedzającym epokę. Jedno jest pewne - Beksiński zaglądał do świata demonów i potworów, fascynowała go atmosfera grozy. Mało kto wie, że Tomasz również malował, zajmował się fotografią, między innymi tworzył przy pomocy przyjaciół fotokomiksy.